

Rozdział 4

Wolne miejsce znalazłam w kącie wagonu, na górnej półce, przy okienku bez szyby. Wdrapałam się tam, powciągałam część moich rzeczy, usiadłam na brzegu ławki i odebrałam z czyichś rąk mego syna. Wagon wypełniony był ludźmi do granic możliwości. Większość stanowiły kobiety z dziećmi. Mówiono, że w wagonie jest nas pół setki. Nie mogłam tego sprawdzić, bo całą jazdę przesiedziałam za drewnianą przegrodą. Tylko tam znajdowały się cztery ławki przeznaczone prawdopodobnie dla konwojentów. W dalszej części bydlęcego wagonu podłoga nachylona była lekko ku środkowi, gdzie znajdowała się dziura służąca w czasie jazdy za toaletę. Wzdłuż ścian zamocowane były kółka do przywiązywania zwierząt. Pod nimi, a także na całej podłodze wagonu, pośród spiętrzonych tobołów, siedzieli ciasno stłoczeni ludzie. Głównie chłopcy z okolicznych wsi.

Pierwszy dzień pobytu w wagonie był najcięższy. Może z powodu zamkniętych tutaj dzieci, które buntowały się, krzyczały i płakały, co powiększało panujące i bez nich zamieszanie i hałas. Nieprzespana noc, zmęczone twarze matek, obce otoczenie, ścisk i zaduch. To było zbyt wiele dla wrażliwych nerwów dzieci. One jeszcze nie umiały cierpieć. Cierpienia musiały się dopiero nauczyć.

Jerzyk na początku był cichy. Siedział spokojnie na moich rękach i przyglądał się babom w kozuchach. Ich spoczone zaczerwienione twarze znajdowały się tuż przy jego twarzyczce. Baby głośno użały się nad moim synem. Że takie maleństwo, że niechybnie zemrze w podróży. Ludzie wymieniali uwagi na nasz temat. Kilkakrotnie usłyszałam swoje nazwisko. Ktoś komuś opowiadał o moim mężu, ktoś inny znał go osobiście. Współczuli mnie, mojemu dziecku i mojej rodzinie. Współczuli sobie i swoim dzieciom. Rozżalali się coraz bardziej. Śmierdziało rozparzonymi kozuchami i moczem. Było okropnie duszno. Serce waliło mi jak młot. Spociłam się. Oczyma wyobraźni widziałam śmierć mojego dziecka. Wszystko to było nie do zniesienia.

U góry, na ławce, poczułam się nieco lepiej, mimo iż Jerzyk dał się teraz straszliwie. Wrzasnął dziko, gdy oddałam go komuś na ręce na czas zrobienia dla nas legowiska. Próbowalam przez moment ułożyć porządnie nasze rzeczy, ale wrzask mojego syna był taki przeraźliwy, że trzęsły mi się ręce i wszystko z nich wypadało. Spiętrzyłam więc byle jak pakunki i sięgnęłam po mojego malca. Byłe prędzej skończyć z tym krzykiem.

Niespodziewanie Jerzyk zamilkł. Siedział teraz spocony i czerwony i przysłuchiwał się wrzaskom innych dzieci. Ocierałam jego twarzyczkę i czekałam, kiedy zacznie znowu. Ale nie, nie zaczynał. Rozglądał się dłuższą chwilę, w końcu wstał, przeszedł dwa kroki w kierunku okienka, po czym skrzywił się i złapał za główkę. Po chwili zawrócił, znowu złapał się za główkę, skrzywił się jak do płaczu i usiadł. Co

mu jest, zaniepokoiłam się. Obejrzałam sufit. Z góry, ostrym końcem w dół, sterczały dwa gwoździe. Jerzyk nie próbował już więcej spacerów.

Trzeba było małemu dać coś do zjedzenia. Przytrzymując go jedną ręką, drugą przeszukiwałam stos naszych rzeczy. Znalazłam w końcu maszynkę spirytusową, blaszany garnuszek, zapalki, butelkę mleka i bułkę babci wypieku. Próbowałam wlać mleko do garnuszka i zagrząć je, ale Jerzyk koniecznie chciał mi pomóc. Oboje mało nie spadliśmy z ławki. Zrezygnowałam w końcu i napiłam mego syna mlekiem wprost z butelki. Pił chciwie z zamkniętymi oczami. W rączce ścisnął bułeczkę. Gdy skończył pić, siusiał. Trochę za okno, trochę na moje kolana. Potem znów pił. Wreszcie zrobił się ociężały, przestał wyslizgiwać się z moich rąk, nie próbował spacerować ani pełzać. Znalazł sobie inne zajęcie. Wyrzucał wszystko, co znalazło się w zasięgu jego rączek. Próbowałam zabawić go jakoś inaczej. Rozgniewał się i zaczął kopać nóżkami. Za cel obrał sobie maszynkę spirytusową, którą usiłował wykopać w kierunku drzemiącego na podłodze starca. Złapałam w porę maszynkę i zdecydowałam, że najwyższy czas pozbyć się jej, bo i tak nie będę w stanie z niej korzystać. Upraszczenie sobie życia i poprzestawanie na minimum ułatwia je znakomicie.

Jerzyk wrzasnął. Był oburzony, że to ja, a nie on wyrzucił maszynkę. Potem na przemian płakał, kręcił się, siusiał, wymiotował, schodził z moich rąk, wracał, aż w końcu zasnął. Odłożyłam go na bok i z koca oraz dziecinną poduszczyki zrobiłam mu gniazdko, w którym mógłby się bawić

i spać. Byłam wyczerpana zachowaniem mojego malca. A to był dopiero pierwszy dzień naszej podróży. Jak wytrzymam dalej? Jerzyk był najmłodszym dzieckiem w wagonie. Miał trzynaście miesięcy i szesnaście dni. Syn siedzącej naprzeciwko Ewy miał czternaście miesięcy. Ale z Ewą był jej mąż. Inne matki miały starsze dzieci i zwykle kogoś z rodziny do pomocy.

Pociąg stał i stał. Minęło dziesięć godzin i nie zanosilo się, aby miał zamiar kiedykolwiek ruszyć. Obie lokomotywy stały martwe. A może je odczepiono, a nas na zawsze, aż do uduśnienia, pozostawiono w wagonach?! Tuż przed zmierzchem przez wybite okno naszego wagonu usłyszałam wołanie:

– Maryniu! Maryniu!

Potem chwila ciszy i znowu wołanie. Potem ktoś wołał już bez przerwy. Marynia, to było moje imię. Tak nazywali mnie rodzice i rodzeństwo. Ale nikt przecież nie mógł nazywać mnie tak tutaj! Wołanie dochodziło z zewnątrz, a tam stała przecież tylko sowiecka straż. Byliśmy dobrze pilnowani. Do wołania Maryni dołączyło po chwili wykrzykiwane mocnym męskim głosem wołanie jakiejś Urszuli. Usłyszałam tupot nóg. Gwar za okienkiem narastał. Trzeba było poruszyć się i wyjrzeć na zewnątrz. Ludzie pozwolili. Przedtem męczył ich brak tlenu i dlatego trzymali mnie z dala od rozbitej szyby. Teraz nagle im przeszło. Zrozumieli widocznie, że tam, za oknem, coś się dzieje i trzeba koniecznie sprawdzić, co.

Przy moim wagonie stała mamusia. Wzdłuż wagonów szli ludzie z koszami w rekach, z podniesionymi ku okien-

kom głowami. Przed rampą stali sowieccy żołnierze, za rampą killkanaście chłopskich furmanek. Mamusia widziana z góry wydała mi się mała. Twarz miała bladą, oczy podkrążone. W obu rękach trzymała wyładowane koszyki, przez rękę przewiesiła sweter, który wczoraj zostawiłam w domu rodziców. Patrzyłyśmy na siebie długą chwilę i nie potrafiłyśmy wymówić ani słowa. Ja, oglądana z dołu, przypominałam pewnie pojmaną i zamkniętą w klatce małpę. Ludzką małpę. Byłam przerażona widokiem mamusi. Byłam pewna, że i ją zgarnięto na zesłanie. Byłam pewna, że za chwilę także ją wcisną do tego piekielnego pociągu i powiozą tam, gdzie i nas planują wywieźć. Moja mamusia nigdzie jednak nie dojedzie. Jest chora na anginę pectoris.

– A tatuś? Gdzie jest tatuś? Czy i jego złapali? – odzyskałam nagle głos.

– Tatuś jest w domu! Nie martw się, mnie nie złapali, sama przyjechałam! – prędko odkrzyknęła mamusia. – Pani Matylda dała nam znać, że wasz pociąg stoi przy rampie w polu i że ludzie jadą, żeby zobaczyć się ze swoimi bliskimi. Ja też wynajęłam furmankę i jak widzisz, dopuścili nas do pociągu! – dodała.

– A dlaczego tatuś nie przyjechał?

– Nie pozwoliłam mu. Gdyby Sowietom przyszło do głowy mnie aresztować, to przynajmniej tatuś zostałby w domu. Pisałby do nas listy – mamusia uśmiechnęła się blado.

Ja też się uśmiechnęłam. Bo nikt w naszym domu nie wyobrażał sobie tatusia piszącego jakiegokolwiek listy. A mamu-

sia znalazła nas, bo chciała nam dostarczyć to, co uznała za niezbędne w podróży na Sybir. Było trudno, ale udało się. Nie wiedziałam tylko, gdzie zmieścić przywiezione przez mamusię rzeczy.

– Miejsce musi się znaleźć. Jeden koszyk podaj na dół, a na drugi znajdź jakiś gwóźdź lub hak w ścianie wagonu – powiedziała mamusia.

– Nie widziałam tutaj żadnego haka. Są za to sterczące z sufitu gwoździe. Jerzyk próbował wstać i skaleczył sobie główkę. Płakał. Mamusiu, jak dzieci tutaj strasznie płaczą... Trudno znieść. Ludzie w wagonie mówią, że wszystkie dzieci w drodze poumierają! – mówiłam przerywanym głosem, z trudem powstrzymując łzy.

– Pokaż mi zaraz twoje dziecko! – zażądała mamusia.

Cofnęłam się. Wyciągnęłam z gniazdka śpiącego Jerzyka i wychyliłam go przez okno. Malec obudził się i próbował dostać się do babci. A w mojej udręczonej głowie powstała myśl, aby oddać mamusi dziecko. Rzucić na jej ręce Jerzyka, może się uda, może strażnicy nie zauważą. Będzie mu znacznie lepiej przy dziadkach niż przy mnie. Powiedziałam o tym mamusi.

– Nie – przysłała z dołu stanowcza odpowiedź. – Dyskutowaliśmy o tym z twoim ojcem i zdecydowaliśmy, że nie proponujemy ci tego. Nas też mogą łada dzień wywieźć i los dziecka, ze względu na nasz wiek, byłby wówczas znacznie gorszy. A ty, gdy będziesz musiała chronić dziecko, dasz sobie radę. Przetrzymasz. Łatwiej ci będzie przetrzymać z dzieckiem niż gdybyś była sama – dodała.

– A jeżeli on zachoruje? Jak go leczyć? – zawołałam rozpaczliwie.

– Zachorować można wszędzie. Nie zapominaj, że Bóg czuwa nad wami i trzeba go prosić o opiekę. W tym większym koszyku zapakowałam trochę lekarstw i płynów dla dziecka – powiedziała smutno mamusia i zapytała mnie, czy mamy ze sobą wodę.

– Nie. Nie zauważyłam wody w wagonie. Ani toalety – odpowiedziałam.

– W tych wagonach na pewno nie ma toalety, a płynami gospodaruj oszczędnie, bo nie wiadomo, kiedy wam dostarczą – przykazała mamusia.

Nasza rozmowa została nagle przzerwana. Chłop w kożuchu i ubłoconych oficerkach dopytywał o Urszulę. Pod pachą trzymał barani kożuszek. W młodej twarzy mężczyzny widać było rozpacz.

– Zapytam, niech pan określi, jak wygląda! – powiedziałam.

– Młodziutka, jasne włosy, niebieskie oczy, szary sweter! – mówił.

Z mojego wagonu ktoś wołał, że widział Urszulę, gdy ładowano ją do sąsiedniego wagonu. Miała jasne warkocze, szary sweter i malutkie dziecko na rękach.

– Nie, to nie ona. Ona nie miała jeszcze dziecka. Pobraliśmy się tydzień temu! – odkrzyknął rozpaczliwie.

Ludzie nawoływali się nadal. Przy niektórych wagonach drzwi były nieco odryglowane i przez powstałą w ten sposób szparę, pod czujnym okiem sowieckich strażników, podawano zesłańcom odzież i żywność.

– A skąd mamusia wiedziała, że jesteśmy w tym wagonie? – zapytałam.

Na to pytanie nie otrzymałam już odpowiedzi. Żołnierze zaczęli odpędzać ludzi od wagonów. Mamusia odsunęła się, przeszła posłusznie kilka kroków i zatrzymała się.

– Ja wiem, że zobaczę was znowu! Ciebie, Jerzyka i Jerzego! My oboje z twoim ojcem wierzymy, że Jerzy żyje, że spotkacie się i wróćcie do domu! – zdążyła krzyknąć.

Nie odpowiedziałam. Widziałam jeszcze, jak mamusia odchodzi. Jak siada na chłopski wózek. Nie zdążyłam jej pomachać, bo gwałtownie odwołano mnie od okienka. W wagonie było duszno. Ludzie nie mogli znieść braku powietrza.